

dr Tomasz Kozłowski
Katedra Edukacji i Nowych Mediów
Wydział Nauk Społecznych
Collegium Da Vinci, Poznań

Pałac Siddharthy czyli Zachód oswaja ryzyko

Ostatnio dotarły do mnie wieści, że słowem roku 2016 według Słownika Oksfordzkiego jest post-truth, post-prawda. A jakie słowo byłoby słowem dekady? Jeśli nie stulecia? Mam swój mały oryginalny typ, żaden to uroczy neologizm. To słowo tak samo popularne, co nudne, wytarte: zarządzanie. Po mojemu: oswajanie (a może nawet negacja) chaosu

Jeśli kultura jest odpowiedzią cywilizacji na chaos – czasy mamy nad wyraz kulturalne: dążymy do doskonałego ogarnięcia chaosu. Zarządzanie nie jest niczym innym jak minimalizowaniem ryzyka na swoich prawach. Zauważmy, że tęsknota za zarządzaniem, wcześniej zarezerwowanym dla przedstawicieli najwyższych stanów, stała się egalitarna, powszechna. O ile jeszcze kilkadziesiąt lat temu społeczeństwo wydawało się znacznie mniej ambitne i bardziej pokorne, zawierając swój los rządzącym (lub Bogu), o tyle dziś nie jest to już takie wyraziste.

Wyraża się to na najprzeróżniejsze sposoby. Pierwszy, jaki przychodzi mi do głowy to środowisko pracy i postrzeganie swojej własnej kariery. Rozwój na tym gruncie od jakiegoś czasu utożsamiany jest jednoznacznie z posiadaniem coraz większego wachlarza możliwości decyzyjnych. Awans to po prostu większy zakres władzy, przede wszystkim. Trochę zabawnie na tym gruncie wyglądają zwłaszcza zespoły speców od marketingu, w szczególności gdy są to zespoły stosunkowo nieliczne. Gdy osób w takiej grupce jest niewiele, dajmy na to od czterech do siedmiu, trochę niezręcznie wyznaczać kilku decyzyjnych i kilku „zaledwie” specjalistów. Ot, lepiej od razu wszyscy mianujemy się managerami. I tym sposobem mamy socialmedia managerów, brand managerów, creative managerów, PR managerów... i wszystko to w obrębie jednego zespołu. Każdy zarządza swoją działką, nikomu nie podlega. Każdy dopisuje tym sposobem seksowną linijkę do swojego *curriculum*: manager.

Władza contra amen

Gdy byłem dużo młodszy i wierzący, słysząc w kościele pieśń „Amen jak Maryja” zawsze zastanawiałem się, jakie znaczenie ukryte jest w tytule o tej pokrętnej składni. Słuchając zwrotek było już nieco jaśniej. Przypomnijmy: „Kiedy ci smutno i nic nie wychodzi, mów: amen, jak Maryja, amen, jak Maryja, amen, widocznie Bóg tak chce”. Później zrozumiałem, że „amen” oznacza „niech tak się stanie” – dobrowolne poddanie się woli Stwórcy. Pisząc to wspominam zastępy dzieciaków – przyszłych managerów – kołyszących się w leniwej ekstazie do dźwięków rozstrojonej gitary i mizernego tamburynu, zgodliwych i chętnych, by owej nadrzędnej woli się poddać, i myślę, że wiele się przez tych z górą dwadzieścia lat pozmieniało.

Dziś ta rozmodlona młodzież jest już dużo mniej skora do strzelania na prawo i lewo „amenem”. Zgody na odgórnie narzucony kontekst i warunki jest już w nich znacznie mniej. Bo poddać się czyjejś woli bez możliwości samodzielnego decydowania kojarzy się ze strachem (inna sprawa, że jest to znanie dużych pokładów społecznej nieufności), a nawet z pewnego rodzaju porażką. Potrzeba nam awansu, a więc panowania,

zarządzania, (samo)decydowania – tylko te elementy świadczyć mogą, że życie nasze niesie ze sobą jakąś realną wartość.

I przecież można bronić tego stanowiska: każdy psycholog przyzna wszak, że poczucie kontroli nad swoim życiem stanowi jedną z wartości konstytuujących nasze odczuwanie szczęścia. Ale ten związek może być postrzegany tendencyjnie, przez pryzmat skażony zachodnim indywidualizmem. Kontrola nad życiem chyba za często utożsamiana jest z władzą (nie tylko nad otoczeniem, również nad innymi). Poczucie sprawstwa łączy się w zachodniej umysłowości z dystrybuowaniem zadań, po prostu. Niesłusznie. Czy „odpuszczenie sobie” nie jest mimo wszystko formą władzy? Nie może się nam pomieścić w głowach, że tybetański mnich ma ogromne poczucie sprawstwa. Bo czymże szczególnym jest władza nad własnym umysłem, skoro nie przynosi żadnych szczególnych, podziwianych przez ogół profitów? Skoro nie gwarantuje obserwowalnych od zaraz rezultatów? Rzadko ma się i rację, i święty spokój. Na ogół można mieć tylko jedno, ale i to wymaga podjęcia decyzji, a więc aktu władzy.

Co na to Zachód? Zachód w o l i m i e ć r a c j ę.

Pokora już była

Na tle dzisiejszego egalitarnego pędu do władzy szczególnie mocno kontrastują prace dawnych mistrzów, w szczególności te ukazujące wizję Sądu Ostatecznego. Na pracach tego typu doskonale widać z g o d ę wobec bożej woli, nawet jeśli łączy się ona z ryzykiem potępienia. Wśród sądzonych dominuje pokora. Nie ma dla niej miejsca wśród już strąconych do piekieł, tam jest płacz, zgrzytanie zębów i złorzeczenia, jednak w miejscu, gdzie „zapada decyzja”, w pobliżu środka obrazu, dominuje nastrój bożej bojaźni: będzie tak, jak zdecyduje Bóg. Przypomina to nieco Hiobowe, uniżone nastawienie do tego, co człowieka spotyka: z pokorą przyjmują każdy boży dopust. Czy i dziś stać by nas było na akceptacją podobnego ryzyka? Nie, ponieważ kłóci się to z nadrzędną zasadą społeczeństwa nabywców: bo jestem kimś ważnym, bo ja s a m decyduję. Zawierzenie komuś swego losu, odrzucenie możliwości decyzji – to co najmniej duża nieostrożność.

Na marginesie: dążenie za władzą wydaje się tylko jednym z niezliczonych przejawów potrzeby zarządzania. Oficjalne badania mówią, że na szczycie systemu wartości Polaka znajduje się rodzina i zdrowie (poparcie nawet 80% ankietowanych). Praca zawodowa (a więc i pięcie się po szczeblach kariery/władzy) jest relatywnie nisko – jeszcze w 2013 r. cieszyła się ogromnym uznaniem zaledwie co piątego Polaka. Pytanie, czy wartości deklarowane pozostają w zbieżności z faktycznie uznawanymi. Jeśli tak – niezmiernie trudno jest w tym świetle wytłumaczyć rosnącą skalę rozwodów. Wzięcie ślubu jest dziś równoznaczne z uzależnieniem szczęścia małżeńskiego od rzutu monetą. Jest 50-procentowe prawdopodobieństwo, że małżeństwo nie przetrwa kilku pierwszych lat. Dobry, zgodliwy związek jest tylko nieco łatwiejszy w realizacji aniżeli utrzymanie się na rynku przez trzy lata z własnym start-upem.

Fundamentalna niezgoda

Ale owa dążność skrywa, jak sędzę, o wiele bardziej elementarną przyczynę i to jej warto się przyjrzeć. Ogólna tendencja do zarządzania kojarzyć się może – mimo wszystko – z fundamentalnym brakiem zgody, brakiem akceptacji dla zastanego stanu faktycznego. Zarządzać wszak to po prostu zmuszać rzeczywistość, by w jakimś sensie nam służyła.

Europa bardzo oddaliła się od swoich filozoficznych korzeni – ideałów epikureizmu i stoicyzmu – u podstaw których stało przekonanie, że świat raczej jest miejscem kotłujących się procesów (a nie harmonii), które – prędzej czy później – muszą

doprowadzić do nieprzewidzianego obrotu spraw. Tylko od nas zależy, na ile procesy te wytrącają nas z równowagi, bo – jak mawiał Marek Aureliusz – *wypadki zewnętrzne duszy nie dotyczą, a wszelki niepokój jest jedynie skutkiem wewnętrznego sądu*. Plany zawsze się pokrzyżują, a życie nigdy nie układa się dokładnie tak, jakbyśmy sobie tego życzyli.

Sztuką jest pogodzić się z takim stanem rzeczy, odpuścić sobie myśli o zawracaniu Wisły kijem. Im mniej mam, im mniej ode mnie zależy, tym więcej mam wolności. Tymczasem społeczeństwa Zachodu co chwila wysyłają wyraźny sygnał, że nie ma zgody na świat zastany. Że trzeba go zmienić w określonym (w domyśle: wyznaczonym przez mnie, przez managera) kierunku. O tym, że obrany kierunek jest właściwy przekonuje ewentualny profit, status etc. Wypadki zewnętrzne, jakiegokolwiek by nie były, dotyczą. Mocno.

Wyżyny dyplomacji

W punkcie tym zbliżamy się, moim zdaniem, do istoty tego, co niektórzy zwykli określać mianem „schizofrenii” zachodniej kultury. Z jednej strony chcemy podnosić swój status i powiększać zakres władzy (a więc ograniczać chaos), a z drugiej – podejmowanie decyzji nierozzerwalnie łączy się z... nowym ryzykiem. Ograniczamy chaos a jednocześnie – tworzymy go, gramy według jego zasad. Powiedzieć, że żyjemy w czasach i w społeczeństwie ryzyka jest już naturalnie niewiele wnoszącym truizmem. Warto jednak zauważyć, że osvajanie ryzyka, albo raczej osvajanie się z ryzykiem, słabo nam wychodzi. „Oswajać” w tym znaczeniu kojarzyć może się z akceptacją. Trudno jednak mówić o akceptowaniu ryzyka, skoro wszystko, co staramy się z nim robić to minimalizowanie go. I tendencja ta widoczna jest w zasadzie w każdego rodzaju działaniach.

Minimalizowane jest – na przykład – ryzyko konfrontacji. Współczesna cywilizacja zachodnia coraz częściej wznosi się, jeśli można tak rzec, na wyżyny dyplomacji w wielu sferach, czy to faktycznych działań na polu polityki zagranicznej, czy w obszarze działań kulturowych. Polityczna poprawność jest najbardziej oczywistym tego przejawem: dobór słów i symboli musi być na tyle rozważny, by nikogo nie urazić, nawet jeśli komunikat przyjmuje niekiedy formę kuriozalną.

Współczesny świat zdaje się robić wszystko, by każdy fragment rzeczywistości był odpowiednio uregulowany i bezpieczny, w przeciwnym razie robi się... bardzo niebezpiecznie. Konfrontacji ucina się łeb zawczasu, aczkolwiek owo kanalizowanie przez coraz większe masy może być odczuwane jako dyskomfort, na czym korzystają – kolejny truizm – populisci i środowiska skrajne.

Strach i wizja strachu

W osobliwy sposób radzi sobie z tym problemem popkultura, która zdaje się zapoznawać nas jedynie z w i z j ą ryzyka, z jego medialnym ekwiwalentem. Przedmiotem rozrywki staje się więc to, co niesie niebezpieczeństwo. Oglądamy zatem filmy o wojnach, masakrach, inwazjach, kataklizmach, konfliktach i wszelkiego rodzaju zagrożeniach, obraz strachu i śmierci jest powszechny i często aż nazbyt spektakularny. Chyba, że mamy do czynienia z obrazem stanu faktycznego. Wówczas też (choć w porównaniu z obrazem pop-śmierci ta rzeczywistość, nieudawana, jest też na ogół daleko mniej widowiskowa) pojawiają się stosowne ostrzeżenia dotyczące szokujących treści. Wystarczy w tym celu przejrzeć zasoby ogólnie dostępnych, choć mniej popularnych niż wszędobylski YouTube, portali, by z powodzeniem natrafić na filmy ukazujące rzeczywiste samobójstwa, katastrofy komunikacyjne, słowem r e a l n ą ś m i e r ć.

O tym, że Zachód karmi się jedynie wizją śmierci i ryzyka i że są one bardzo odległe od ich realnych odpowiedników świadczy fakt, że owe filmy w dalszym ciągu wzbudzają w oglądających strach (wystarczy przecież rzucić okiem na komentarze przerażonych internautów). Sądzę, że to nad wyraz dobitny przykład b r a k u z g o d y. Śmierć? Tylko ta z kina. Ból? Tylko ten w sporcie. Ich rzeczywiste i niezawinione ekwiwalenty nie mają prawa się przytrafiać. Jest jakaś głęboka prawda w słowach Guillaume'a Musso, że „żyjemy tak, jakbyśmy nigdy nie mieli umrzeć. A żeby uczynić swoje życie sensownym, należałoby cały czas pamiętać, czym nieodwołalnie się ono kończy.” Kiedyś o tym pamiętano, dla wielu wciąż jest to odkrycie, choć słowa o godzinie śmierci obecne są przecież w jednej najpopularniejszych na świecie modlitw.

Może zatem, nim przejdziemy dalej, warto przypomnieć tę niewygodną oczywistość: *memento mori*.

Pałac Siddharthy

Problem jednak w tym, że współczesne społeczeństwo, odsuwając od nas wizję realnego ryzyka i realnej śmierci, w jakimś sensie przesuwa rzeczywistą walkę o byt, a może i szerzej – o swoją tożsamość – w sferę mało konkretnych idei. Kojarzy mi się to z sytuacją, która wałkowana jest w podręcznikach pedagogiki (a *de facto* jest powtórzoną legendą o Buddzie). Nadopiekuńczy rodzic, który odsuwa od dziecka to wszystko, co umownie nazwać możemy ciemną stroną życia – ból, chorobę, zło itd., na swój sposób wyrządza mu krzywdę i, nieświadomie zupełnie, uczy, że co by się nie stało, ostatecznie wszystko dobrze się skończy. W rezultacie rośnie młody człowiek, obywatel, konsument etc. oczekujący wyłącznie pozytywnego obrotu spraw. A przecież nie tak wygląda świat. Nauka – o czym przypomina doświadczenie młodego Siddharthy, który wyszedł ze swego nieskazitelnego przybytku – płynie również, a może przede wszystkim (?), ze świadomości tego, co niepożądane, trudne, co odrzucane.

Ponownie wracamy do zachodniej schizofrenii: z jednej strony wiadomości dobiegające ze świata biją na alarm i to w bardzo różnych dziedzinach, z drugiej, podtrzymywana jest wizja świata, w którym całym tym zewnętrznym ryzykiem należy w umiejętny sposób zarządzać, ewentualnie – powierzyć komuś owo trudne zadanie. A nawet jeśli nie – to wciąż są to sprawy ogólne, a jeśli ogólne, to nie dotyczące mnie bezpośrednio. Doświadczenie wojny jest tak odległe, że przestała być ona już czymś realnym.

Kto myśli o lodowcach?

O tym, że życie samo w sobie łączy się z ryzykiem, wolimy chyba nie wiedzieć. Co więcej, ryzyko „dalekiego zasięgu” – niestety – nie jest czymś, z czym dobrze radzimy sobie od strony czysto poznawczej. Niezwykle trudno jest nam zrozumieć, że działania każdego z nas przynoszą realne efekty w nie tak znowu odległej przyszłości. Przykładowo – k t o f a k t y c z n i e zastanawia się nad topnieniem lodowców? Osobiście nie znam ani jednej takiej osoby. Wszyscy dokoła żyją zupełnie innymi problemami, choć topnienie czap lodowych to problem jak najbardziej r e a l n y, namacalny i który rzeczywiście niebawem odbije się najprawdopodobniej na życiu każdego z nas.

A jednak prawdą jest, jak pisał niegdyś Vonnegut, że póki człowiek ma pełen brzuch, pewien jest, że wszystko jakoś się poukłada i że po prostu będzie dobrze. (Najlepszym świadectwem tego jest niby powszechna wiedza o perspektywie głodowych emerytur i niemal zupełny brak zainteresowania Polaków w kwestii zabezpieczenia swojej przyszłości. Myślenie o tak odległej rzeczywistości jest po prostu psychologicznie niezwykle trudne, co nie oznacza, że nie ma najzupełniej realnych skutków). Skutecznie

dociera do nas tylko perspektywa zagrożenia nieodległego, nagłego. Wizja końca świata, ogólnoplanetarnego kataklizmu itd. choć realna – zdaje się rezydować w jakimś wszechświecie równoległym, to zaledwie bredzenie oszołoma. To również od tej strony można spojrzeć na aforyzm McLuhana, wg którego jesteśmy na powrót wioską, tylko wioską globalną. Koczujące wioseczki łowców i zbieraczy są ahistoryczne, nie znają swoich korzeni, swojego pochodzenia. W globalnym plemienu wracamy do tego wrażenia wiecznej terażniejszości, choć od drugiej strony: znamy co prawda swoje początki, ale koniec nas nie dotyczy.

Tak zwane dobro przyszłych pokoleń to platoniczny frazes, który w gruncie rzeczy niezmiernie trudno nam urealnić. Pytanie: dlaczego o tej skali zagrożeniu mówi się tak niewiele? Doprawdy, trudno znaleźć na to jasną odpowiedź. Możliwe, że to nasza cecha gatunkowa. Bo ewolucja nie prowadzi selekcji naturalnej pod kątem zagłady planety. Jeszcze.

Strzeż się orzeszków

Ale przecież nie potrzeba tak skrajnej perspektywy jak śmierć, by ukazać strach ludzi Zachodu przed jakimkolwiek ryzykiem. Zauważmy, że z powodzeniem funkcjonuje trend, w których usiłuje się zabezpieczyć każdą ewentualność. Najbardziej dobitnym przykładem jest *de facto* wszędobylska „mała czcionka”. Zabezpieczanie się przed niespodziewanym ryzykiem widoczne jest absolutnie wszędzie. W ostrzeżeniach o obecności mikroilości orzeszków ziemnych, o konieczności ochrony dzieci przed kontaktem ze żrącym środkiem do toalet, w informacjach, że spożycie proszku do prania, denaturatu i roślin doniczkowych jest szkodliwe, że kupując medykamenty należy skonsultować się z lekarzem lub farmaceutą, że palenie i picie szkodzi. W zasadzie każdy z takich zdroworozsądkowych komunikatów stanowi niezacieralny ślad po procesie wytoczonym producentowi przez konsumenta, którego zaskoczyła nieoczekiwana szkodliwość jego własnych decyzji.

Przypomina to walkę o przewidzenie wszelkich możliwych opcji, gdy coś „nie idzie zgodnie z planem”. Przecież byliśmy poinformowani. „Wiedziałeś na co się decydujesz” – to krótkie zdanie staje się absolutnym dogmatem współczesnego funkcjonowania w społeczeństwie, więcej, jest wyznacznikiem dorosłości, a więc stanowi paszport do krainy potencjalnie nieskrępowanego działania. Jeśli nie wiedziałeś – twój problem, jesteś dorosły.

Przekonanie o mocy sprawczej jednostki i ponoszeniu odpowiedzialności za swoje decyzje tak głęboko weszło już nam w krew, że trudno sobie wyobrazić, by kiedyś jeszcze odejść od niego. Założenie, że każdy odpowiada za siebie, mimo wszystko, trąci nieufnością i dystansem względem społecznego otoczenia. To tylko trochę inny sposób, by powiedzieć, że ostatecznie każdy jest sam. A przecież nie jest to nic innego jak twór na wskroś kulturowy, podzielana przez większość, ale wciąż tak samo arbitralna wartość. Czy można kiedyś jeszcze odejść od niej, kosztem naszego ego, naszej jednostkowej tożsamości na korzyść tego, co kolektywne? Na korzyść wspólnej sprawy i wspólnego ryzyka? Ale czy da się to przeprowadzić, zwłaszcza w sytuacji, kiedy tak trudno jest odmówić sobie pieszczczenia się myślą, że jest się – bądź chciałoby się być – kimś znaczącym? Kiedy oto trzeba nagle odpuścić i przyznać, że jest się częścią anonimowej dość całości?

Można spróbować. W dalekowschodnich systemach moralnych obecna jest cnota „o d m o w y b y c i a k i m ś w a ż n y m” (jakież to niezachodnie!). Ćwiczyć tę cnotę można choćby w ten sposób: udzielam rad wyłącznie wówczas, gdy spełnione są jednocześnie dwa warunki. Pierwszy z nich to posiadanie głębokiej wiedzy o danym zagadnieniu. Drugi

– jestem poproszony o radę. We wszystkich innych wypadkach – należy milczeć. Jest to postawa biegunowo odległa od powszechnych standardów, które zakładają immanentną wartość dążenia do bycia kimś.

Możliwe?

Amen.

[Podpis taki jak zwykle]